

gotowała dla trojga. Wszakże to tasama robota. Na posprzątanie nie zabraknie czasu, a zresztą Pan Bóg nam wszystkim dopomoże.

Wdowa rozrzewniała się, przycisnęła główkę Hani do piersi, ucałowała ją i pobłogosławiła.

Hania dotrzymała przyrzeczenia. Bóg jej sił dodawał i nie tylko wszystkiemu dała radę, ale nawet jeszcze więcej szyła na maszynie, jeszcze więcej zarabiała. Bo już tak jakoś Bóg zrządził, że na glebie poświęceń ludzkich wyrastają największe energie, najdzielniejsze siły ducha, a robota wszelka, w imię miłości bliźniego podjęta, wydaje plon stokratny.

Upłynęło tak kilka tygodni, a wśród tego czasu wypadło Hani niekiedy spędzić noc bezsennej przy łóżku biednej wdowy, bo kilka razy ciężko zanie mogła.

Nie dziw, że wdowa pokochała Hanię macierzyńską miłością.

— Widzisz Jaśku, widzisz — mawiała do syna — jak to nas Bóg nie opuszcza. Własna córka nie byłaby lepszą. A ty nieraz tak źle mówisz o ludziach. Już to wy młodzi dzisiaj nie widzicie w świecie nic dobrego; wszystko wam się wydaje złe i nieszczęśliwe. O mój Boże! Inaczej nas uczono, gdyśmy byli młodzi, inaczej mawiał twój ojciec. Myśm wiedzieli, że bywają nieszczenia w życiu, aleśmy je umieli znosić, pocieszać się. Wiedzieliśmy też, że i szczęścia dość Pan Bóg rozsiewa po świecie i umieliśmy go używać pocziwie, gdy niem Bóg obdarzył. A wy co? Wyście podobni do człowieka, co sobie uroił, że na świecie tylko deszcz, tylko błoto, że zawsze pochmurno; że tylko wicher ziębi, a mróz szczypie. A nie chciał ów człowiek tego uznać, że przecież więcej bywa dni pogodnych, jasnych i ciepłych. To urojenia, a urojenie nie jest prawdą. Wiedną wam dzisiaj dusze zawczasu i dlatego to tyle bywa zmarniałych żywiołów.

— Takie to czasy, moja mam — odpowiedział Jan.

— Co też ty mówisz? a któż te czasy stworzył? czasy takie, jak je ludzie tworzą. Zawsze to samo słońce świeci nad nami, zawsze ten sam Bóg na niebie. Tylko dawniej ludzie byli inni. Jakby na twojego ojca było się zważyło drzewo, toby je zdźwignął z siebie i poszedł dalej; na ciebie, jak listek upadnie, to już zawodzisz strasznie, że go otrząść z siebie musisz.

— Może być mam, że tak jest, bom nie lepszy od innych i ten sam duch czasu urabia mnie, co i drugich, ale jest w moim sercu miejsce na ową wiarę, że mogą być słoneczne dni w życiu, pogodne i także jasne, że nawet niabo w legendach ludu jaśniejszym być nie może. Wierzę dziś w to i dobrze mi, bardzo mi dobrze.

— Chwała Bogu mój synu. Cieszę się, boś mi naprawdę jakiś teraz inny, weselszy. To tak jakoś z tą Hanią zesłał nam Bóg pociechę i pokrzepienie.

Jan chciał coś powiedzieć, ale właśnie nadeszła Hania i zaczęła nakrywać stół do obiadu. Jan spoglądał na nią, jak na obraz święty.

W sercu Jana powstała najpierw wdzięczność dla Hani, za opiekę nad matką; potem cześć głęboka dla jej cnoty, skromności; następnie podziw jej charakteru, bogactwa duszy i wielkiego wykształcenia, a wreszcie miłość potężna a poważna. Ale nie okazywał tego, nie mówił o tem. Mimo tego Hania się domyślała, bo czegoż nie domyśli się kobieta? Jana polubiła bardzo, uczuciem siostry, ale kochać go nie mogła, bo miłość dla Ryszarda nie tylko nie rozcierała się w jej sercu, ale nawet wzmagala się w miarę tego, jak przybywało czasu od chwili, gdy go utraciła. I dlatego postanowiła usunąć się z poddasza, skoro tylko wdowa wyzdrowieje i szukać pracy w innym mieście. To też co dnia przeglądała pilnie ogłoszenia po dzieńnikach, aby też upatrzeć sobie coś takiego, czego by się podjąć mogła.

### Za wszelką cenę.

Gdy Łukasz wyrzucił za drzwi Ludwika, Różia przybiegła do brata i czyniła mu dotkliwe wyrzuty.

— Przez twoje głupstwa mogę stracić służbę. Słyszałam wszystko, co nagadał przed księciem. Z tego tylko nieszczenie być może dla ciebie i dla mnie. Gdyby księżę ci uwierzył, to ona zemściłaby się na tobie i doniosła do sądu o sprawie Izabelli. Cóżby wtedy z tobą się stało?

— Ej, bredzisz. Cóżby się stać miało? zamknęli barona, a przez to, że uciekł, to mi tak sprawę poprawił, że mi jej nie nie pepsuje. A gdyby sobie i dziesięć razy donosiła sądowi, to jej nikt nie uwierzy. To strachy na lachy.

— Ale pomyślnie też i o mnie. Jabym takiej

służby nie znalazła już nigdzie. Zresztą, jeżeli już chcesz coś zyskać od niej, toś powinien tak postępować, aby cię ona potrzebowała. I cóżes zrobił? Jeżeli ją księżę wypędzi, to coż zyskasz? Ona ci nie dać nie będzie mogła, bo spuściznę po ciotce będzie musiała zatrzymać dla siebie.

— A czemuż mnie rozgniewała? Przemawiała do mnie, jakby była prawdziwą księżniczką. A mnie się to nie podoba, bo to przecież koleżanka.

— Dajże już spokój temu koleżeństwu. Boże! Boże! żeby to jako naprawić.

Przerwała się rozmowa, bo wpadł Łukasz z ostrzeżeniem, że księżę kazał Ludwika ścigać, ująć i wziąć pod straż.

— Niechże panna Różia ukryje brata, żeby go nawet mysie oko nie widziało, — rzekł Łukasz i wybiegł, bo księżę już dosiadał konia i czekał na Łukasza.

Klara ocknęła się wkrótce. Nie chciała w to wierzyć, że księżę odjedzie natychmiast; spodziewała się, że jeszcze wróci, że ją bodaj pożegna. Wtem usłyszała tentent konia. Roztwiera okno. To księżę z Łukaszem galopuje ku lasowi.



Jakób wpadł do wody, a Hania zemdlona, uczepiła się osady masztu...

— Ferdynandzie! — krzyknęła z rozpaczą — Ferdynandzie!

Załamana ręce, to znowu szarpała na sobie suknię, to wryła się palcami we włosy i zdawało się jej, że rój węzów rozpięra się w jej piersi. Miotła nią złość wściekła i wstrząsał lek straszny. A wyrzuty sumienia huczały jej nad głową, jak dzwon pogrzebowy. W dźwięku tego dzwonu słyszała jęk żałobny, tensam, co na pogrzebach. Ta chwila była dla niej pogrzebem jej szczęścia, jej marzeń, jej pychy. Toczą się koło niej czarne myśli, a jeszcze czarniejsze wspomnienia przeszłości.

Widzi umierające dziecko swoje i słyszy jego głos i pamięta jego słowa: „Księżę wypędził księżniczkę z zamku“. Może ją istotnie wypędzi? Jakże szczęśliwą była jeszcze dziś rano! Była na szczycie najdumniejszych marzeń, a teraz wpadła w przepaść rozpacz.

Jeżeli księżę zapyta Buchenaua, jeśli mu uwierzy? Jakież tryumf Wurma i hrabianki! Jaka wzgarda, jakie poniżenie ją czekają.

Nie, nie, to być nie może: musi się bronić, musi się ocalić. Ale jak? Ha! tensam Ludwik,

który ją miał zgubić, może ją teraz nie tylko ocalić ale nawet jeszcze wzmocnić jej stanowisko. Trzeba działać prędko. Trzeba Ludwika pozyskać za wszelką cenę, choćby nawet.... Taki wstrętny! Trzeba o tem zapomnieć. Pozyskać go musi za wszelką cenę.

Temi myślami podniecona, przebiegła Klara buduar, bliska szału. Powziawszy plan zjedwania sobie Ludwika, zadzwoniła. Wpadła Różia.

— Gdzie twój brat?

— Nie wiem... może...

— Ja go chcę zaraz widzieć. Jeżeli wyszedł, wyslij za nim konnego.

— On się boi... Żałował bardzo tego, co uczynił.

— Jeszcze wszystko może naprawić, ale go muszę widzieć natychmiast.

— Ja się przyznam, że go zatrzymałam u siebie, żeby mu wyrzuty czynić za nierozsądne jego postępowanie. On żałuje, on robi wszystko, co jaśnie pani każe.

— Idź i przyprowadź go natychmiast.

Bywają często w życiu ludzkim minuty dłuższe od godzin, a dla Klary wydała się ta krótka chwila,

którą czekała musiała na Ludwika, niemal epoką życia. Czy go nakłoni do odwołania oskarżeń? Jakiego okupu Ludwik za to zażąda? A czy księżę odwołaniu uwierzy? Może też Różia już go nie zastanie? Może tymczasem odszedł? Przez krótką chwilę doznawała Klara tak wielkiego niepokoju, że nią owładnął zupełnie i uczuwać zaczęła lek i bezsilność. To ją bardziej jeszcze przerażało, bo rozumiała dobrze, że w rozprawie z Ludwikiem nie może okazać lęku i słabości.

Na szczęście wszedł oczekiwany Ludwik, ale jeszcze zuchwalszy, niż przedtem, z szyderskim uśmiechem na ustach. Klara się pocieszała, że Ludwik przyjdzie skruszony, że naprawdę żałuje tego, co uczynił, jak Różia zapewniała. Wyzywające zachowanie się Ludwika onieśmieliło Klarę tem bardziej.

— No, przyszedłem, jak pani widzisz — rzekł Ludwik, trzymając ręce w kieszeniach.

Klara zebrła wszystkie siły, żeby udać spokój, i z wyniosłością odpowiedziała:

— Kazałam cię zawołać mój kochany, bo twoja siostra zapewnia, że uznałeś swoją niegodziwość i żałujesz tego, coś uczynił.

— Że też to zawsze zachciewa ci się grać

rolę, gdy rozmawiasz ze mną. Po co takie gadanie? Ja się nie boję niczego, ani nie żałuję, ale ty koleżaneczko boisz się i żałujesz. Boisz się żeby cię księżę nie puścił w trąbę i dlatego żałujesz, żeś się pierwszej ze mną nie ugodziła.

— Księżę wcale nie wierzy temu wszystkiemu, coś powiedział.

— Jeżeli nie wierzy, to pocóżes mnie wezwała.

— Dlatego, ażebyś już raz przestał o tem mówić i nie rozgadywał gdzieindziej.

— To rzecz niewielka, taką małą przysługę mogę koleżance wyświadczyć, jeżeli ugodzisz się ze mną pocziwie. Za to zobowiążesz się zapłacić mi połowę tego, co wezmiesz za dobra Adlersfeld.

— Szalony jesteś chyba. Wszakże to krociowy majątek!

— Moje milczenie warte milionów. bo jakbym nie milczał, tobyś w tym pałacyku nie siedziała.

— Prócz tego żądam jeszcze od ciebie, ażebyś wszystko odwołał, co księciu opowiedziałeś.

— Ho! ho! ho! Nie ma głupich. Tobym się dopiero wybrał.

C. d. n.